**Dawne Mościce z pamięci mieszkańców. Z Tadeuszem Żmudą rozmawia Monika Faron, podkast 2.**

**Podkasty nagrane w ramach projektu „Mościce mam sercu. Upowszechnianie dziedzictwa kulturowego przyfabrycznej dzielnicy Tarnowa”. Zapraszamy do odsłuchania rozmowy.**

**Spisany tekst rozmowy jest dostępny w formacie otwartym (jako dokument tekstowy).**

**Kliknij, żeby pobrać tekst rozmowy.**

**Pan Tadeusz Żmuda mówi o sobie tak:** „Jestem mościczaninem z urodzenia, wyboru i akceptacji”. **Podzieli się z nami ciągle żywymi wspomnieniami z Mościc lat 50. i 60. Opowie zarówno o życiu codziennym, jak i odświętnym tej dzielnicy. A w drugiej części tego spotkania przejrzymy wyjątkową galerię postaci, które stanowiły o wyjątkowości i kolorycie Mościc.**

Tadeusz Żmuda: Jako członek tamtejszej społeczności, jako dziecko wyrosłe w atmosferze Mościc, skupię się w pewnym sensie na rozszerzeniu wątku mieszkańca baraków, tych przy ulicy Kościelnej. Będę mówił o całych Mościcach, ale życie w Mościcach było zróżnicowane w zależności od tego, kto gdzie mieszkał, w której dzielnicy Mościc. Czy to były baraki przy ulicy Kościelnej - ta najweselsza część, moim zdaniem, czy ktoś mieszkał w dzielnicy urzędniczej - tam gdzie były zbudowane domy willowe w 1927 roku. Czy ktoś mieszkał na Plewęcinie, czy Świerczkowie, czy Kaprze, czy na Dąbrówce Infułackiej.

**Monika Faron: To były różne rytmy?**

TŻ: Tak, to były różne części Mościc i różne rytmy były. To wynikało z zaszłości historycznych. Moje wspomnienie - i tutaj chciałbym to zaakcentować - dotyczy właśnie rytmu życia mieszkańców części robotniczej. Tej części, która składała się z czternastu baraków.

**MF: Czyli kolonia fabryczna?**

TŻ: Kolonia fabryczna. Ale kolonia fabryczna była podzielona na urzędniczą, czyli mieszkańców Mościc, którzy mieszkali w rejonie ulic Topolowej, Głogowej, Białych i Czerwonych Klonów. To była dzielnica willowa. Tam mieszkali inżynierowie, członkowie zarządu fabryki. Natomiast cztery domy, plus trzy jeszcze później dobudowane w 1934 roku w tej drugiej fali inwestycyjnej, po kryzysie - to była zabudowa zachodnia ulicy Kościelnej, naprzeciwko naszych baraków. Tam mieszkali Mościczanie, którzy pełnili różne funkcje szczebla średniego. To też była warstwa urzędnicza, ale różniła się ona od tej warstwy inteligenckiej, tej ścisłej, która zamieszkała właśnie w części willowej. No i nasza część, powiedzmy najweselsza, zamieszkana była przez robotników, którzy zajęli właśnie mieszkania w barakach. To nie były mieszkania, gdzie każdy mógł mieszkać, kto tam sobie wynajął miejsce. Nie. Wszystkie lokale w Mościcach, należały do fabryki. Lokale na barakach zajmowali mieszkańcy, którzy mieli stałą umowę z Zakładami Azotowymi. Wówczas fabrykę nazywano Zakładami Azotowymi a wcześniej to była Państwa Fabryka Związków Azotowych, przed wojną. Gdy kończył ktoś pracę z różnych względów: przeprowadzał się albo zamierzał wyjechać, to nie zostawiał rodziny, nie traktował mieszkania jako swojej własności, tylko musiał je opuścić. Był rygor pod tym względem. Porządek.

**MF: Powiedzmy, że w dzisiejszym nazewnictwie słowo „barak” kojarzy się bardzo jednoznacznie, że to jest jakaś taka budowla prowizoryczna z przeznaczeniem czasowym. Tymczasem pan mówi o barakach, które powstały do drugiej połowie 20 wieku.**

TŻ: W 1927 roku konkretnie.

**MF: A mieszkało się w nich jeszcze - i to komfortowo - w latach 50. Jak one wyglądały? Jakiego rodzaju to były budowle?**

TŻ: Nic bardziej błędnego, jak określenie Mościckich baraków jako prowizorium budowlanego. To były bardzo solidne budowle. To była taka szeregówka - odpowiednik dzisiejszego budownictwa szeregowego, tylko wykonana z drewna o solidnej konstrukcji szkieletowej. Posadowiona była ta konstrukcja na fundamentach, bardzo zresztą solidnych. Ściany podwójne, deskowane, w środku wyłożone trzciną. W tej chwili mówię o walorach budowlanych. Trzcina służyła jako nośnik oczywiście tynku i wytynkowane na biało pięknie. Obszerne pokoje, ze spiżarką, z piwniczką - jeżeli ktoś sobie zrobił oczywiście spiżarkę - i ogromnym strychem. Wszystko było użytkowe. Ściany były ocieplone takimi materiałami, jakie wówczas były używane, czyli między ścianą zewnętrzną a wewnętrzną sypany był żużel mielony, specjalnie segregowany. Ściany były takie, w pewnym sensie trójwarstwowe.

**MF: Komorowe.**

TŻ: To sprawiało, że budowano szybko taki budynek i on spełniał wszelkie normy cieplne. Nie było w nim zimno. Był piec kaflowy w pokoju, również kaflowa kuchnia. Zlew z wodą bieżącą. A łazienka była w środku baraków, zbudowana jako osobne pomieszczenie sanitarne. To było miejsce, gdzie były ustępy po jednej stronie korytarza, a na wprost była duża łazienka z piecem węglowym, z prysznicem i wanną również. To były bardzo solidne budowle. One by przetrwały jeszcze długo, długo według mojej oceny.

**MF: Nagrywamy rozmowę dla współczesnych a niekoniecznie wszyscy pamiętają tamte czasy i wiedzą co pod tą nazwą naprawdę się kryło.**

TŻ: Na baraki wtedy nie używało się słowa baraki, tylko się mówiło pawilony i operowało się cyfrą:

- Gdzie mieszkasz?

- W pawilonie dziesiątym.

Ja, jak pisałem list do mojej ciotki, który mama mi dyktowała, też używałem na kopercie adresu zwrotnego „Pawilon XI/7”. Na starych kopertach też figurują takie skrót PAW. (od „pawilon”) i cyfra rzymska.

**MF: Panie Tadeuszu, na koniec tego wątku, kiedy przyszedł kres baraków?**

TŻ: Kres baraków przyszedł wraz z początkiem socrealizmu, gdy postawiono pierwsze bloki wzorowane na radzieckich doświadczeniach. I to jest ten środek Mościc, słynne podkowy. Te mieszkania w barakach były bardzo komfortowe i dobre, zaspokajały głód mieszkaniowy, ale wówczas rozpoczął się exodus. Po prostu zaczęto ludzi przesiedlać z baraków, bo uważano je za relikt minionej epoki. I na różnych forach - jak się chcieli popisać sekretarze - to każdy deklarował, że ludzie zostaną przeniesieni z tych baraków. A ci ludzie wcale nie chcieli stamtąd odejść. To był pewien paradoks. Dlatego, że oni mieli już pewien styl życia, wrośli w tamtą społeczność.

**MF: Mieli ogródki, mieli komórki, przestrzeń i podwórko.**

TŻ: I zwierzątka. Mieli to, co utracili gdzieś tam. Przynajmniej w namiastce, w miniaturze. Nieuchronna rozbudowa Mościc spowodowała, że ci ludzie byli przenoszeni.

**MF: Które to były lata?**

TŻ: Ten exodus się zaczął w pierwszej połowie lat 60. W 1964 roku myśmy się przenieśli, pamiętam to z autopsji. Ale myśmy się przenieśli na drugą stronę, właśnie do takiego trzypokojowego, bardzo ładnego mieszkania w bloku. Przy ulicy ówczesnej Dębowej, obecnie Kasztanowej. Mieliśmy łazienkę (już wewnątrz) ogrzewanie piecowe jeszcze, bo później dopiero centralne ogrzewanie. Nawet i w tych blokach nowocześnie postawionych to centralne ogrzewanie wprowadzono później. Tak to ogrzewanie było piecowe, zarówno w przedwojennych, jaki i tych współczesny blokach.

**MF: Pamięta pan, kiedy ostatni barak został zburzony?**

TŻ: To było w ‘67 roku chyba, według mojej pamięci. Tak mi się wydaje że to był 67. rok właśnie, bo wtedy chodziłem jeszcze na te baraki, nawet jak wyburzono kaplicę, one zostały już takie troszeczkę osamotnione. I te baraki już były bardzo smutny widokiem: okna zabite deskami, wiatr który hulał po podwórkach, zarośnięte podwórka. Powoli się kończyły i przechodziły do niebytu. Później ekipy więźniów z Tarnowa… Przepraszam z Mościc-Kapra, bo tam mieści się Zakład Karny, rozbierały te baraki. Patrzyłem z pewną melancholią na proces końcówki życia tej całej dzielnicy, bo przecież tam było mnóstwo wydarzeń związanych z ludźmi, mnóstwo mościczan przeszło przez baraki…

Droga życiowa była taka: staranie się o pracę, wykazanie, że jest się zakładowi potrzebnym, mieszkanie na barakach i potem mieszkanie na blokach, czy w innej dzielnicy. Tych ludzi przeszło tą drogą bardzo dużo, szczególnie w latach 50. Właściwie to od 1930 roku, od 1927 roku od grudnia, kiedy pierwsi fachowcy różnych zawodów zasiedli te baraki. Ten proces cały czas trwał, no i skończył się. Postępu nie można zatrzymać. Życie okazało się silniejsze niż stereotypy, niż przyzwyczajenia. Czegoś żal na końcu po prostu... Nie baraków prawdopodobnie - przynajmniej ja to tak odczuwam - tylko młodości. Ona tam przebiegała, w takim czasie, przy takim statusie społecznym. No cóż, to było nasze doświadczenie.

**MF: Panie Tadeuszu powiedzmy o tym życiu codziennym Mościc. Proszę nam opowiedzieć, bo pan sporo pamięta z lat 50., wtedy przypadało pana dzieciństwo i młodość. I pamięć ma pan fantastyczną, więc może się pan tymi wspomnieniami podzielić? Jaki był rytm życia mościczan, rytm dnia codziennego?**

TŻ: Rytm dnia Mościc, ówczesnych Mościc, wyznaczała praca w fabryce. Wszystko było podporządkowane właśnie temu porządkowi dnia w fabryce. Wówczas pracowało się przez sześć dni w tygodniu, tylko niedziela była wolna. Od poniedziałku do piątku wszyscy pracowali w fabryce po 8 godzin, a w sobotę 6 godzin. Szkoły też były czynne w sobotę. W miejscu, gdzie ja przeżywałem swoje dzieciństwo i młodość, czyli ta świadoma część przypadająca już na ulicę Kościelną, mościczanie wstawali bardzo wczas (wcześnie). Moja mama wstawała po godzinie czwartej. A Mościce się budziły tak między 5:00 a 6:00. Wtedy rozpoczynał się ruch, widoczny i słyszalny. Ponieważ mieszkańcy Mościc żyli w takim dość specyficznym środowisku, gdzie każde mieszkanie w baraku miało ogródek, między ulicą a oknami, które wychodziły na ulicę była przestrzeń do zagospodarowania na ogródki. To był ogródki jarzynowe, kwiatowe, bardzo ładnie utrzymane. Można powiedzieć, że roślinki na baczność stały. Tam nie było żadnego chwastu, nie do pomyślenia było żeby jakiś brak kosmetyki się w to wkradał. Tam było dużo kwiatów, krzewy, bzy tak bliżej, był chodniczek z jednej, z drugiej strony komunikacyjny.

**MF: A Jarzynki?**

TŻ: Tak, oczywiście. I dlaczego oni tak wstawali wczas? Dlatego, że na podwórku, pomiędzy jednym a drugim barakiem (które były tak usytuowane, że były lustrzanym odbiciem, okna z kuchni wychodziły na podwórka) stały komórki. W tych komórkach hodowano króliki, kury, świnki, co kto mógł. To przeszło jeszcze z czasów okupacji. Ludzie, żeby nie głodować przy tych kartkowych przydziałach realizowanych przez niemiecką administrację, hodowali te wszystkie zwierzątka. No i trzeba było zwierzęta nakarmić i wypuścić kury. O poranku zajmowano się takim obrządkiem. Robiły to mamy, żony, czy po prostu gospodynie, które w zdecydowanej większości nie pracowały (bo tak było w tradycji mościckiej, że kobiety raczej zajmowały się dziećmi). Rodziny były liczne, od trzech dzieci wzwyż. Jeśli było mniej dzieci w rodzinie, to troszeczkę ze współczuciem patrzono na taką rodzinę, a trochę z zazdrością, bo mniejszy wysiłek był.

Rytm życia odmierzała tutaj fabryczna syrena parowa, która była umieszczona na elektrowni elektrociepłowni nr 1, w skrócie nazywały się EC1 i o siódmej rano ryk z tej syreny oznajmiał, że rozpoczęła się pierwsza zmiana. Zmiana trwała do godziny 15:00, kiedy syrena ogłaszała zakończenie pracy dla jednych, a rozpoczęcie pracy dla drugiej zmiany. I to samo o 23:00. Więc trzeba było wyprawić rano głowę rodziny do pracy, przyszykować śniadanie. Później cała ta społeczność udawała się do pracy, ta część robotnicza i część, która związana była z tak zwanym utrzymaniem ruchu, czyli to byli wszyscy fachowcy pomocniczy: ślusarze, elektrycy, pracownicy budowlani i tak dalej.

**MF: Szło się do fabryki na piechotę, czy rowerami?**

TŻ: I tak i tak. To znaczy zdecydowana większość jeździła na rowerach. Podstawowym środkiem lokomocji był rower. Te rowery to nie były nowe rowery. To były rowery składane. Myśmy na przykład nigdy nie mieli nowego roweru praktycznie rzecz biorąc, bo taka była tradycja, że kupowało się tam ramę gdzieś, jakieś koła i składało się. Urzędnicy chodzili na piechotę z reguły. Nie jeździli rowerami. Teczka w ręku pękata i na 8:00 godzinę urzędnicy fabryczni szli do pracy i pracowali do godziny 16:00. Natomiast ci związani bezpośrednio z produkcją chodzili na 7:00 do 15:00. Godziny poranne były związane z wielkim ożywieniem Mościc, bo to była społeczność około 3 tysięcy ludzi wówczas, bo ja mówię o czasie przed rozbudową fabryki. Jak ruszył tak zwany Tarnów II, którym nazwano - już w latach 60. - tą rozbudowaną fabrykę, to ona była dużo większa niż ta pierwotna, historyczna fabryka. Więc wtedy było jeszcze więcej ludzi. Ale wówczas, nawet wtedy kiedy fabryka dopiero rozbudowywała się, to tymi alejkami, ulicami, strumyk ludzi podążał ku fabryce. Przed fabryką witał przybyłych wesoły koncert z głośnika. Był megafon, a właściwie dwa, na bramie i była audycja radiowęzła zakładowego i potem ona kończyła się oczywiście retransmisją programu pierwszego polskiego radia. Potem jeszcze była transmisja na terenie zakładu, już wówczas przez radiofonię przewodową w tych głośnikach zakładowych, ale dotycząca spraw zakładu. Koncert życzeń był też. To takie ożywienie chwilowe podczas pracy. Studio było w tym budynku z zegarem, czyli budynku portierni tak zwanej. Tam gdzie była też siedziba straży przemysłowej. Audycja, która dotyczyła zakładu była transmitowana tylko dla zakładu. A całe Mościce były zradiofonizowane. Była sieć radiofonii przewodowej, takie małe gniazdka, głośniki. W każdym mieszkaniu, na ścianie wisiał głośnik, tak zwany kołchoźnik. Transmitowano pierwszy program Polskiego Radia. Później włączano transmisję z drugiego programu i była muzyka poważna. A wieczorem przełączano też na pierwszy program dlatego, że były tam elementy rozrywki różnego rodzaju, a ludzie bardzo, bardzo byli głodni informacji. Tak więc, te głośniki grały ciszej lub głośniej. Ale gdy się szło przez Mościce to można było nie wstępować a wysłuchać to samo po prostu przez cały czas. Gdzieś tam dźwięczał w tle ten kołchoźnik, programy zaczynały się o 4:00 rano. Pamiętam, że zaczynał się gimnastyką, pianiem koguta i gimnastyką właśnie. Gimnastykę prowadził chyba doktor Erdmann, a później, po jego śmierci, pan Hoffman, jeżeli mnie pamięć nie myli. I ta gimnastyka trwała 10 minut. No, niektórzy się nawet gimnastykowali. Ja sam też próbowałem jakoś się dostosować, ale potem mi się nie chciało, bo byłem rozleniwiony i w ogóle musiałem się przygotować do szkoły.

No więc osobną rzeczą była właśnie wędrówka dzieciaków do szkoły. Ta wędrówkę do szkoły była czasami związana z jakimiś ciekawymi miejscami. Jednym z takich miejsc był przejazd kolejowy, stara bocznica kolejowa. Ku naszej uciesze, czasami pociąg towarowy zagradzał nam drogę i myśmy stali przed tym pociągiem. Liczyliśmy wagony i podziwialiśmy ich zawartość. Gdy pociąg stał długo, rozważaliśmy, czy ktoś nam uwierzy, że spóźnialiśmy się, bo pociąg zagrodził drogę. Nauczyciele w końcu przestali przyjmować tłumaczenie o pociągu. Trzeba było coś wybrać. Albo spóźnić się albo stracić lekcję, albo no radzić sobie. Radziliśmy sobie tak (ku zgrozie zgromadzonych tam ludzi starszych), że przychodziliśmy na czworakach pod wagonem na drugą stronę, nasłuchując oczywiście, czy nie ruszyła lokomotywa. Tak to po prostu było. Dziaciaków nie mobilizowała niechęć usprawiedliwiania się przed nauczycielem, tylko to, że za torem, po lewej stronie, stał kiosk pana Waleszczyńskiego. To był taki dystyngowany pan, jak wszyscy ci przedwojenni przedsiębiorcy. Był emerytem, ale prowadził ze swoją żoną kiosk. W kiosku były osobliwości różne, których nie można było dostać gdzie indziej. Drugą wersją przechodzenia było przejście schodkami po tylnej platformie wagonu. Dzieci się popisywały - niektórzy szli dołem, niektórzy górą. Zaoszczędzony czas spędzaliśmy pod kioskiem kupując sobie oranżadę, albo takie karmelki, które udawały papierosy. I potem dopiero szło się do szkoły. Kiedy wybudowano obok kościół obowiązkowo wstępowaliśmy niemal wszyscy do kościoła. Kościół był zamknięty w środku, ale przedsionek był otwarty. Tam modliliśmy się, żeby Pan Bóg sprawił, żebyśmy dwói nie dostali i szereg podobnych intencji. Tak wyglądały nasze peregrynacje do szkoły nr 8.

Przełom dnia w Mościcach następuje o godzinie 15:00, kiedy ludzie tłumnie wracają z pracy. Chodniki się wypełniają. Później ojciec, jak i sąsiedzi zajmowali się różnego rodzaju pracami, związanymi po prostu z egzystencją. Kto tam miał jakiś fach, coś umiał robić, to wówczas poświęcał ten czas, właśnie na to. Byli też posiadacze motocykli. One były najczęściej z czasów wojny albo przedwojenne, więc sobie coś tam grzebali koło nich. Najpiękniejszą dla nas wszystkich porą, wspólną dla mościczan, były wieczory. Kiedy powoli mrok ogarniał ziemię, był taki zwyczaj na barakach, że brało wyścielało się kocykiem progi i na tych progach siadano. Oczywiście robiły to głównie kobiety, które miały wreszcie ten czas dla siebie, wytchnienie po całodziennej pracy, żeby sobie usiąść po prostu i z sąsiadką pogadać. Mieszkanie oddzielone było tylko grubością ściany, więc ta bliskość była absolutna. Te wieczory poświęcone były na różnego rodzaju opowieści z przeszłości, albo wspólnego życia albo wymianie informacji, doświadczeń. Myśmy jako dzieci bardzo to lubili, dlatego że wówczas dowiadywaliśmy się od rodziców wiele ciekawych rzeczy historycznych.

**MF: Uczestniczyliście w tym dorosłym życiu.**

TŻ: Tak, jako słuchacze. Nie przerywaliśmy, bo to nie było wówczas akceptowane, ale bardzo chętnie słuchaliśmy bo opowieści układały się nam w pewien obraz czy sąsiada, czy tej rodziny. Zresztą wszyscy traktowali się tam, jakoś podświadome to było, jako jedna wielka rodzina. Sąsiad był najbliższym wujkiem po prostu. Sąsiedzi z jednego baraku to było 10 rodzin i sąsiedzi z drugiego naprzeciwko, to była rodzina. Bo wspólny był cel, wspólne miejsce pracy, wspólne mieszkanie na małym terytorium.

Inaczej było w święta. Inaczej było w święta państwowe, inaczej było w święta kościelne. Święta państwowe to były fajne święta, bo zawsze wiązały się z jakąś atrakcją, jakąś uroczystością. Mościce żyły wtedy własnym życiem, takim kreowanym przez Dom Kultury, przez instytucje kultury: kino, dom kultury, kościół. Świąt państwowych mieszkańcy właściwie nie uznawali, bo byli ukształtowani przez inną rzeczywistość, ale chętnie świętowali traktując je jako dzień wolny i jako atrakcję, rozrywkę. Ludziom to było potrzebne. Za Kasynem była zabawa – odbywały się tam tańce, koncerty, mnóstwo ławek było. Tak to wyglądało. Zabawa zawsze miała dwa etapy: oficjalny i mniej oficjalny. Pierwszy to były wystąpienia sekretarzy, którzy chwalili wyższość ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym i prezentowano osiągnięcia fabryki, itd. A jak się to skończyło, ludzie cierpliwie wysłuchali, to się rozpoczynała druga część oficjalna, ale taka rozrywkowa. Po prostu był koncert jakiś. Jakaś orkiestra występowała. Oczywiście to był wszystko reżyserowane i pod kontrolą. Byli bardzo zabawni konferansjerzy ze środowiska. Kto tam jeszcze… Goście zaproszeni i jakaś orkiestra, soliści, bufet działał. Wszystko było przez fabrykę przygotowane. A ludzie się bawili, cieszyli. Zabawa trwała do późnej nocy, chyba że burza czy jakiś inny kataklizm rozgonił towarzystwo.

**MF: Mówił mi pan w rozmowie poza mikrofonem o tym, że orkiestra zakładowa też uczestniczyła w takich wydarzeniach.**

TŻ: Tak, tak. We wszystkich wydarzeniach. W ważne święta państwowe, orkiestra grała capstrzyk. O godzinie 6:00, jeździła na ciężarówce i odgrywała po radosne, wesołe marsze. Zaczynali z jednej strony ulicy, potem przemieszczali się na drugą i tak dalej, przez całe Mościce.

**MF: Czekało się na tę orkiestrę?**

TŻ: Nie, nie. Ta orkiestra nas budziła. Wtedy jak było wiadomo, że będzie święto państwowe to myśmy dłużej spali, bo nie szło się do szkoły, pracownicy nie szli do pracy, ci dniówkowi tak zwani.

**MF: A oni budzili: proszę wstawać i świętować.**

TŻ: Tak. I to było takie radosne. To było takie wesołe zaskoczenie.

**MF: Sporo już wiemy na temat życia codziennego i odświętnego Mościc lat 50. i 60., ale czym byłoby miejsce i czy mogłoby być wyjątkowe, gdyby nie szczególni ludzie? Kto szczególnie zapisał się w pana pamięci i dlaczego?**

TŻ: Jedną z powszechnie znanych i szanowanych postaci był pan listonosz. Wszyscy wiedzieli, że ma na imię Józek. Na pocztę się wówczas bardzo czekało, ponieważ cała praktycznie społeczność Mościc to byli ludzie napływowi, o bardzo zróżnicowanych biografiach. No więc, ci ludzie utrzymywali kontakt ze sobą, a wojna ich rozproszyła, więc listy przychodziły i z zagranicy i krajowe. Pan Józek, oczywiście w rozpiętej marynarce, bo czuł się już dobrze, z ogromną torbą wypełniona przesyłkami, z czapką tak lekko zaciągniętą do góry, o mocnym, donośnym głosie, szedł sobie wzdłuż baraków i krzyczał nazwiska ludzi. No to my oczywiście, jako dzieci, biegliśmy i oczekiwaliśmy tam swoich nazwisk, czy krewnych, czy znajomych, czy sąsiadów. Najczęściej te listy wydawał dzieciom. Dzieci miały z tego fajną zabawę, bo jak przyniosły do kogoś list to zawsze dostawały ciastko, albo cukierek, albo znaczek. Filatelistyka była bardzo rozpowszechniona.

**MF: No dobrze. Kto jeszcze?**

TŻ: Fotograf proszę pani. Przyjeżdżał na rowerze z aparatem przewieszonym ukośnie przez ramię. Ludzie robili sobie zdjęcia na podwórkach. Z dzisiejszego punktu widzenia, mamy niepotrzebnie myły dzieci albo je przebierały, żeby ładnie wyglądały na zdjęciu. A szkoda, bo to troszkę inaczej wyglądało.

**MF: Niż na co dzień.**

TŻ: Ale fotograf robił też zdjęcia z ukradka, albo według własnej estetyki i przyjeżdżał jeszcze raz żeby sprzedać te zdjęcia. Ludzie je najczęściej kupowali.

Byli też domokrążcy, różnego rodzaju żebracy. Autentyczni, albo po prostu przebierańcy. No więc przyjeżdżały zespoły cygańskie, które rozbijały nad Białą swój obóz. Przez chwile tu mieszkali, a przy okazji zbierali pieniądze, śpiewając różnego rodzaju piosenki. Niektóre przynależne, załóżmy, do folkloru cygańskiego, a niektóre nawet bardzo sprośne. Pewna grupa dzieci tych piosenek szczególnie słuchała, ku zgrozie ich mam itd.

Przychodził też ślusarz, złota rączka. Jako dzieci przyglądaliśmy się jego pracy, bo on robił wszystko. Na plecach miał cały warsztat. Miał takie nosidełko, zwiniętą rolkę blachy ocynkowanej, zestaw narzędzi ślusarskich. I on to błyskawicznie ściągał z roweru i z pleców i organizował sobie warsztat. Miał oczywiście szlifierkę na pedał, którą ostrzył noże, nożyczki. Nitował garnki. Brał taki, wycinał błyskawicznie, miał jeszcze takie prawie artystyczne ruchy i klepał, i za chwileczkę - proszę bardzo, nowy garczek. Niektóre kobiety niedowierzały. Miał ze sobą wodę w wiaderku. Przelewał i pokazywał, że garnek szczelny. Tacy fachowcy bardzo wszystkim imponowali, myśmy ich szanowali.

Było kilka postaci mościckich, których wszyscy szanowali. W świadomości starszego pokolenia byli, może nie autorytetami, ale osobami szanowanym z uwagi albo na swój zawód, albo na rolę społeczną, opiniotwórczą nazwijmy to. Liczono się z ich zdaniem. Mogę tutaj wspomnieć o pani, która przyjęła mnie na świat, czyli pani Banachowej. Ona była akuszerką. Była to kobieta zdecydowana, taka trochę kostyczna, silna, o silnym głosie, władczym geście i mówiła wszystkim po imieniu, bo ona przyjmowała wszystkich mościczan na świat. Jeżeli kobieta miała rodzić, no to sekwencja zdarzeń była następująca. Wysyłało się męża, który najczęściej był człowiekiem zagubionym, nie wiedział co robić po prostu. Ojciec szedł do pani Banachowej powiadomić ją, że to już. Dialog mniej więcej wyglądał tak: „No to Stefan, bierz narzędzia i smaruj tam do żony. Szykujcie wodę”. No to już ojciec był szczęśliwy, bo wiedział co robić. Było jakoś przyjęte, że pani Banachowa przyjeżdża do rodzącej dorożką. Niedaleko mieszkał taki pan, który miał dorożkę i pracował w tak zwanym dworze, czyli na Kaprze, w gospodarstwie rolnym. Szło się do niego i prosiło o przewiezienie akuszerki, nieważne czy w nocy, czy w dzień. On był do dyspozycji, dorabiał sobie. Banachowa wybadała kobietę i stwierdzała, czy poród się odbędzie czy jeszcze nie. Kobiety, generalnie rzecz biorąc, do szpitala nie jeździły, rodziły w domu. Tak było przyjęte. Ona była specjalistką od wszystkiego. Miała przeróżne narzędzia chirurgiczne, materiały opatrunkowe i tak dalej. No i nosiła ze sobą charakterystyczną rzecz, która dzieci, nas troszeczkę śmieszyła. Nigdy nie używała rękawiczek tylko miała mufkę, taką jak księżniczki na starych filmach.   
I wkładała sobie tam ręce i grzała. Taka była, powiedzmy wyjęta z przed wojny po prostu. Moda już się wtedy zmieniała, ale jeszcze w dużej części ludzie ubierali się tak, jak przed wojną. Ona miała szacunek społeczny ze względu na swój zawód i była charakterystyczną, silną osobowością.

**MF: Istotna rola – przyjmowanie mościczan po tej stronie świata. Wspomniał pan też o panu Słowiku.**

TŻ: Pan Słowik Julian to człowiek instytucja. On był kościelnym, takim wiecznym kościelnym. Pierwszym kościelnym, przed wojną, był pan Napieracz, a kolejnym był pan Julian Słowik. Zawsze skromny, zawsze cichy. Wiedział jakie zadania ma wykonywać w kościele, w kaplicy, był bardzo sumienny. Nie było przypadku żeby o czymś zapomniał, żeby nieterminowo zadzwonił, czy cokolwiek innego. Posługiwał przy chrztach, przy ślubach... Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Zawsze w tym kościele miał coś do roboty.

**MF: Kogo jeszcze pan pamięta z tych czasów, postać charakterystyczną życia codziennego?**

TŻ: Pamiętam pana Nowickiego. Doktor Nowicki był medykiem z powołania. Charakterystyczna postać, wysoki człowiek, bardzo elegancki, chodził najczęściej w takiej marynarce z krótkimi rękawami. Znał wszystkich po imieniu. On robił wszystko, leczył na wszystkie choroby, sam osobiście prześwietlał ludzi. Prześwietlał raz wszystkie dzieci ze szkoły numer 8. Ustawiano nas na korytarzu i czekaliśmy. Każdego wprowadzano do ciemnego pokoju, czerwona lampka się paliła, tajemniczy nastrój. Stał aparat z ruchomym ekranem, szumiał wentylator a pan Nowicki w okularach, w okrągłym czepku wyglądał jak bajkowa postać. Przybliżał ten ekran, uruchamiała się lampa rentgenowska i na ekranie widać było, jak to się mówi, kościotrupa. Prześwietlał nas szukając gruźlicy, w ramach profilaktyki dziecięcej.

Były też postaci, nazwijmy to drugiego planu. Pan Buczek to był pracownik oddziału zaopatrzenia robotniczego. Tak się wówczas nazywało tą komórkę, która odpowiadała za sprawy socjalne. Był postacią znaną, bo pełnił ciekawą rolę. Był rozwozicielem mleka, wyprodukowanego przez gospodarstwo doświadczalne przy Azotach (w dawnym dworze Ujejskich) na Kaprze. Tam hodowano między innymi krowy. Mleko wożono do Konsumu i równocześnie wożono do willi poszczególnych mieszkańców w dzielnicy willowej. Mleko wydawano pracownikom, jeszcze przed wojną, tym którzy pracowali w trudnych warunkach. To byli pracownicy zatrudnieni bezpośrednio przy obsłudze urządzeń na terenie zakładu. Była to taka pogodna postać. Pan Buczek w wyglądzie wyjęty był całkowicie z minionej epoki.

**MF: To jak wyglądał?**

TŻ: Pan Buczek chodził w elegancko wyczyszczonych, błyszczących butach z cholewami wysokimi do kolan, takich oficerskich, i spodniach powiedzmy, które później widziało się na dżokejach, jak na wyścigach konnych i w zielonej bluzce. To był rodzaj takiego munduru. Miał czapkę charakterystyczną, przypominającą wojskową. Utkwił mi w pamięci, bo był człowiekiem życzliwym. Jak tylko widzieliśmy, że jedzie to wskakiwaliśmy mu na tak zwany kozioł, czyli na przednie siedzenie jego wózka. Siadaliśmy koło niego i pomagaliśmy mu bańki roznosić. Wypytywał nas o dziecięce sprawy i byliśmy zachwyceni, że mamy dorosłego słuchacza. A jeszcze, jak dawał do potrzymania lejce i bacik! Ooo, nasze szczęście było pełne. Chciałem go wspomnieć jako człowieka obecnego w dziecięcej rzeczywistości Mościc.

**MF: A z ludzi-instytucji? Bo rozumiem, że tutaj rozwoziciel mleka miał bardzo ważne zadanie i był lubianą postacią. Ale byli też ludzie-instytucje, na przykład ksiądz Indyk...**

TŻ: Tak, to byli ludzie pierwszego planu. No niewątpliwie najważniejsze autorytety i ludzie bardzo szanowani i pożyteczni. Niezależnie od tego, jaką funkcję pełnili. Niewątpliwie na pierwsze miejsce wysuwał się ksiądz Stanisław Indyk. Wszyscy wiedzieli o jego roli w czasie okupacji, o prowadzeniu przez niego tajnego nauczania, o jego roli w powoływaniu szkolnictwa w Mościcach. To była powszechna świadomość, on współpracował z mościczanami. Bez dyskusji postać numer jeden.

Równorzędną taką postacią, zbiorową postacią, jeżeli tak mogę użyć takiego słowa, to była rodzina państwa Hellerów. Pan Kazimierz, pani Maria i rodzeństwo: ksiądz Michał Heller, oczywiście późniejszy ksiądz i Hanna jego siostra, która była utalentowana muzycznie. Jeszcze w tej rodzinie utrzymywali i opiekowali się wychowanicą, tak w naszym odbiorze ją nazywaliśmy. To była taka ułomna dziewczynka, którą bardzo szanowali i towarzyszyła im wszędzie. Można ich było spotkać zawsze o wczesnym poranku, na szóstą chodzili do kościoła całą rodziną. Nawet jakbyśmy nie wiedzieli, kim jest rodzina Hellerów to w domu nam nakazywano, że „jak będą Hellerowie szli to się ukłoń”. A oni wszyscy zawsze się odkłaniali. Byli zawsze uprzejmi. I w stosunku do dziecka i w stosunku do osób dorosłych mieli szacunek. To byli ludzie, którzy byli zesłani na Syberię i przeżyli gehennę zesłania. Wrócili do Mościc, mieszkali dosyć skromnie w jednej z willi tam na rogu ulic Jarzębinowej i Czerwonych Klonów.

**MF: Czym oni się wyróżniali, że budzili taki powszechny szacunek, oprócz tej dramatycznej historii?**

TŻ: On się wyróżniali taką prezentowaną na zewnątrz pogodą, byli to ludzie bardzo pogodni i uprzejmi, i eleganccy. Taka egzemplifikacja dziewiętnastowiecznego inteligenta. Tak się nam to kojarzyło - troszeczkę wyjęte, pomnikowe postaci. Oni robili to o czym myśleli, ich życie było dokładnie zgodne z tym, co głosili, przy czym nie afiszowali się w ogóle z niczym. Jeżeli coś dobrego robili to się wszyscy dowiadywali, na przykład że pani Hellerowa coś tam załatwiła dla kogoś, co wydawało się niemożliwe. Pan Heller również tam pomógł komuś coś załatwić, ujął się za kimś, czy coś takiego. Ale to dopiero wychodziło od ludzi trzecich, nigdy od nich. Postępowali dokładnie według ewangelicznych wzorów. Żyli tą wiarą na co dzień i tyle. W Mościcach, rzadko kto chodził codziennie do kościoła. Wspominam ich jako rodzinę zdecydowanie odcinającą się od szarzyzny lat 50., jako ludzi bardzo pozytywnie ustosunkowanych do każdego człowieka.

**MF: Jeszcze miał pan kontakt z rodziną Abratowskich. Też takie bardzo słynne, mościckie nazwisko.**

TŻ: Tak, pan Abratowski był naszym kapelmistrzem. Właściwie to on sprawiał wrażenie, jak gdyby był w swoim własnym świecie, chodził w takich grubych okularach, miał słaby wzrok. Często próby orkiestry odbywały się w domu kultury (budynek Kasyna). Dla nas to było Nowe Kasyno, w przeciwieństwie do starego, tego przedwojennego, w którym obecnie mieści się archiwum. Myśmy na to mówili Kasyno. Pan Abratowski prowadził w Kasynie próby orkiestry. Gdy wracał wieczorem, po zmroku, to miał problemy z dostrzeżeniem różnych przeszkód a Mościce końcem lat 50. i początkiem 60. był rozkopane w dużej części, bo już trwała rozbudowa. Bawiliśmy się wszyscy przy tej ulicy. Wyławiał mnie, bo mnie znał, bo mieszkaliśmy po drugiej stronie ulicy. Wołał na mnie, zapominał sobie wszystkich imion albo mylił imiona, co było bardzo zabawne, więc wołał mnie „Ej, kręcony! Chodź no tutaj!”. Wówczas miałem kręcone włosy. „Prowadź mnie do domu, żebym nie wpadł do jakiejś dziury”. Łapał mnie jedną ręką za włosy, a ja taki mały szedłem i dziwiłem się bardzo, że pan Abratowski nie widzi. Po prostu jakoś nie mogłem tego zrozumieć, że można mieć taką wadę wzroku, bo dla mnie widzieć, to było oczywiste. Przeprowadzałem go przez te mostki zrobione prymitywne, z trzech desek, nad tymi głębokimi wykopami do domu. Bardzo mi dziękował zawsze i szukał po kieszeni jakiegoś cukierka, jak nie miał to dawał mi 2 zł na przykład, co było dla mnie wielkim jakimś przeżyciem, bo nie dość, że okazałem się uprzejmy to jeszcze zarobiłem. Myśmy do pana Abratowskiego też bardzo chętnie zaglądali jako kolędnicy, bo to była frajda. Gdy przychodziły Święta Bożego Narodzenia to później, po Nowym Roku rozpoczynały się zwyczajowe kolędowania. 4-3 chłopaków, sadza z komina na twarz, jakieś tam resztki z kożuchów, przebieraliśmy się za różne postaci biblijne. Szopkę zrobiliśmy sobie sami z pudełka i wykleiliśmy święte postaci. Wędrowaliśmy zarówno po barakach, jak i po blokach, między innymi do pana Abratowskiego. Dzwonek do drzwi, pan Abratowski gdzieś tam, usłyszeliśmy szelest. „Wśród nocnej ciszy…” rozlega się kolęda na klatce schodowej. Pan Abratowski otwiera, cieszy się i zaprasza nas do środka. Z reguły ludzie nas nie zapraszali do środka tylko odśpiewywaliśmy te kolędy na progu. Pana Abratowski otworzył drzwi na oścież, „Chodźcie chłopcy. Chodźcie, chodźcie”. My tam zawsze odśpiewywaliśmy coś, rodzaj takiego wierszowanego tekstu, trochę śmiesznego, trochę jasełkowego. No i pani Abratowska wtedy przynosiła nam jakieś ciasto. Częstowała nas z całą powagą. Myśmy nieśmiało brali po kawałku. Po tym oczywiście pan Abratowski dawał nam jakieś pieniążki za kolędę. Pamiętam jedną z tych kolęd. Państwo Abratowscy byli rodziną troszkę powiększoną, bo mieszkali u nich państwo Jankowscy. Pan Jankowski szczupły, wysoki człowiek, w okularach, na ręku miał chłopaka. Ten chłopak patrzył przestraszony na nas, takich murzynów jakichś, dziwnych przebierańców. Chcieliśmy mu szopkę pokazać, ale ten chłopczyk bał się. Myśmy byli więksi od niego, różnica była może z dziesięć lat. Takie jest moje wspomnienie. Czasem uśmiecham się, patrząc na tablicę w sali kinowej nowego Domu Kultury, widzę pana Abratowskiego jak dziś.

**MF: Jak on wyglądał panie Tadeuszu?**

TŻ: To był mężczyzna wysoki, raczej słusznej tuszy, zawsze w garniturze: najczęściej szarym, w grubych okularach grubych. Miał starannie włosy przyczesane, zgodnie z estetyką tamtych lat. Szybko mówił, tak charakterystycznie i najczęściej chodził sobie sam po Mościcach. Ja go nie widziałem nigdy w sklepie, w takich miejscach codziennych, zwyczajnych, bo to załatwiała pani Abratowska ewentualnie ktoś - pani Mela chyba na imię miała - kto u nich pracował. Tutaj rodziny inteligenckie, do który należał również pan Abratowski, zatrudniały osoby do pomocy. W tych czasach nie używało się już określenia „służąca”, bo było niepolityczne, niepoprawne.

On był postacią powszechną. Orkiestra występowała wszędzie, więc i pan Abratowski wszędzie ją prowadził z tą swoją charakterystyczną buławą.

**MF: Jako puentę pańskiej opowieści panie Tadeuszu, chciałabym prosić o coś najważniejszego, co dla pana zawsze pozostanie w pamięci właśnie z tego dzieciństwa, z młodości w Mościcach.**

TŻ: Właściwie to wszystko było ważne (śmiech). Całe moje życie przypadło na lata trudne, ale to była moja młodość. To były też inne Mościce, to była inna atmosfera. To było życie w enklawie społecznej, oderwanej troszeczkę od głównego nurtu życia miejskiego. Z Mościc do Tarnowa się jeździło. Trzeba było jechać do Tarnowa, wcale się nie mieszkało w Tarnowie. Mościczanie mieli poczucie odrębności. Oni tutaj wszyscy znaleźli swoją pracę, swój dobrobyt, bo przed wojną bardzo dobrze płacono, niezależnie od kryzysu. Kto miał pracę w Mościcach, to miał spokojną przyszłość, perspektywy rozwoju i godnego życia. Przecież tutaj było organizowane życie we wszystkich wymiarach. W zakresie wypoczynku i w zakresie realizacji własnych planów, marzeń i tak dalej. Tak było do wojny. Po wojnie przecież ludzie byli ci sami, to wszystko przeszło płynnie. Zaczęło się zmieniać już właściwie od początku lat 60. Te nieuchronne procesy społeczne musiały to wszystko zmienić, ale dla mnie Mościce pozostały w sercu, tak muszę to powiedzieć. I zostaną już do końca moich dni dlatego, że to była moja młodość i wspomnienie życia opartego na wartościach.